

## **Mateusz Matyszkowicz: Jestem bezczelnym republikaninem**

W dyskusjach prawicy o niej samej więcej mamy „wykoncypowanych przeróbek” niż prawdy



**W dyskusjach prawicy o niej samej więcej mamy „wykoncypowanych przeróbek” niż prawdy**

*Poniższy tekst został wysłany do redakcji Uważam Rze. W odpowiedzi red. Paweł Lisicki napisał: "Jak słusznie Pan zauważył cykl jest dosyć nudny i zamierzałem go zamknąć wcześniej zamówionym tekstem Piotra Zaremby". Zaproponował też, że gdybym chciał ten nudny cykl pociągnąć, to mogę, ale tekstem znacznie krótszym.*

*Ponieważ jest kilka spraw, które chciałem wyjaśnić, publikuję w całości na stronie Teologii Politycznej. Za nudy przepraszam*

W poprzednim numerze URze Jacek Karnowski napisał, że „środowisko Teologii Politycznej, choć samo zarzuca to innym konserwatystom, stało się *de facto* koalicjantem Platformy, ową »opozycją do opozycji«”. To kolejna odsłona dość nudnego cyklu pt. Jak ja niecierpię tych wstrętnych Smerfów! Z jakichś jednak względów środowisko wPolityce.pl bardzo lubi Teologię Polityczną i regularnie podnosi swoimi tekstami czytelnictwo jej strony.

Gdybym był złośliwy – a wszyscy wiedzą, że nie jestem – napisałbym, że bracia Karnowscy i ich portal wPolityce.pl zawiedli mnie i inne osoby o prawicowej orientacji, bo zamiast zajmować się polityką na poważnie, jak deklarowali na początku, stworzyli miejsce, które służy często do wylewania żółci. Napisałbym również, że motto z Józefa Mackiewicza – „Jedynie prawda jest ciekawa” – którym lubią się posługiwać, jest w odniesieniu do nich trochę na wyrost i bez zaznajomienia się z artykułem, z którego ono pochodzi. Mackiewicz pisze: „Prawda jest z reguły bardziej bogata i wielostronna, i barwna, niż wykoncypowane jej przeróbki” – otóż mam wrażenie, że w dyskusjach prawicy o niej samej więcej mamy „wykoncypowanych przeróbek” niż prawdy, więcej fikcji literackiej, która ma służyć opowieści, jej wartkości, nieoczekiwanym zwrotom akcji i mocno zarysowanym charakterom. Mnie jakoś ta fikcja nie pociąga. Nie czuję także przyjemności w dalszym prowadzeniu tego wątku, bo nieuchronnie doprowadziłby mnie on do takiej postawy, jakiej chciałem na początku uniknąć, to znaczy stworzyłbym demoniczny i nieprawdziwy obraz braci Karnowskich. Przecież to, co napisałem przed

chwila jest w duzej mierze literacka fikcja. Potem moglibysmy sie nawzajem tymi fikcjami przerzucać i byloby naprawde fajnie, az przyszedlby gajowy i wyrzucil nas wszystkich z lasu.

Tyle zolci. A teraz o tym, o co razem z braćmi Karnowskimi walczymy, w czym chcielibysmy miec z nimi sojusz i co jak na razie nam nie wychodzi. Chociaz sam rzadko pisze o prawicy samej, bo bardziej mnie interesuje, co porabiaja rzdzacy, tym razem postaram sie wyluszczyc swoje stanowisko w tej sprawie. Caly czas mam tez wrazenie, ze gramy w tej samej druzyynie.

A wiec sprawa pierwsza: niezaleznosc. Konserwatysta tym sie wyroznia, ze szanuje wlasne zdanie i prawo do jego obrony. W pogladach oponenta nie doszukuje sie wiec wylacznie dryfowania z pradem ani szukania finansowych korzyści (to akurat jest watek najsmieszniejszy: im prawica biedniejsza, tym chętniej oskarza sie o luksusy), bo inaczej uzaleznia od obcego sobie modelu analizy. Nie na to przez ostatni wiek nasi ideowi mentorzy i pasterze walczyli z materialistycznym sposobem objaśniania dziejow, zebyśmy mu teraz ochoczo ulegali. Przekleństwem prawicowego myslenia jest obecnie calkowita zaleznosc argumentacji od tej wydawaloby sie przewyczeszonej juz ideologii. Zwlaszcza, ze po jej konsekwentnym zastosowaniu wszyscy okazuja sie zalezni, nikt zas w pelni wolny. Kazdy gdzieś zarabia i jest zalezny. Kazdy pisze do kogos konkretnego, ma wlasna grupe czytelnikow i od niej jest rowniez zalezny. Ma tez swoich redaktorow naczelnych, ci zas wlasciocieli, a wlasciocieli zrodlo finansowania. Profesorowie maja swoich rektorow, nie zawsze Polakow. Jeszcze inni maja Polakow, ale spod ciemnej gwiazdy. Jezeli ktos zyje z pisania, to mozna o nim powiedziec, ze zalezy od dziennikarskiego ukkladu, w ktorym sie znalazl. Jezeli zas ma odrębne zrodlo dochodow, to

ono go warunkuje. I tak źle, i tak niedobrze. To wszystko nie uprawnia nas do głoszenia, że w takim razie nic, co spod pióra wychodzi, nie spełnia warunków niezależności. A przecież o wartości danej tezy i argumentacji nie decydują okoliczności zewnętrzne (czyli niezależność); człowiek myślący szuka raczej ich merytorycznej trafności, poprawności rozumowania i adekwatności. To z nimi trzeba się mierzyć w pierwszej kolejności, a nie tworzyć fikcję literacką opartą na marksistowskim rozumieniu dziejów.

Sprawa druga: zaangażowanie. Przed tym problemem staje prawie każdy piszący – chyba, że ma charakter tak nieznośny, iż nikt się z nim nie chce zadawać. Jak być jednocześnie zaangażowanym i niezależnym? XX wiek wypracował pewien postulat zaangażowania intelektualistów i nie chodzi wcale jedynie o tych, którzy w ten sposób rozpoczęli służbę totalitarnym systemom. O zaangażowaniu pisali także ci, którzy właśnie totalitaryzmowi wypowiedzieli wojnę, na przykład francuscy personaliści. Uznali, że zaangażowanie jest naturalną konsekwencją głoszonych przez nich poglądów. W ten sposób to, co dyskursywne – a więc wyznawany przez siebie system wartości, głoszone poglądy, wysuwane tezy i argumenty, to wszystko, co można zamknąć w zdaniu i poddać ocenie pod kątem prawdziwości – zlało się z tym, co znacznie mniej dyskursywne, a więc z postawą. Z tzw. poglądami sprawa jest prosta: bierzemy i polemizujemy. Jeden z moich profesorów zawsze powtarzał: filozof jest kimś, kto wie, że cokolwiek powie, będzie przez kogoś innego zakwestionowane. Dopóki pozostajemy na tym poziomie, może toczyć się między nami dyskusja i trwa przyjaźń. Obie rzeczy nam służą. Kiedy zaś w grę wchodzi kwestionowanie postawy, porzucamy pole dyskusji i uderzamy tak mocno, żeby zabolalo, bo naszym celem nie jest już błędny pogląd, ale jego wyznawca, nie zdanie, ale osoba.

Powstaje wtedy taki personalizm *à rebours* – interesują nas tylko osoby, całą resztę im przyporządkowujemy i nie wierzymy, że cokolwiek osiągniemy, jeśli tej drugiej osoby nie wbijemy w ziemię. Najgorsze w tym jest to, że poświęcamy w ten sposób osoby całkowicie na darmo. Polityka polska ma bowiem to do siebie, że radykalnej retoryce wcale nie odpowiadają radykalne działania. Wiele przyjaźni zostało zerwanych w ten sposób, wielu ludzi wypchniętych, i to tylko dlatego, że nie wpasowali się w bieżącą gorączkę ideową. Na łodzie zaś pozostały obie strony: ta, która się gorączkowała i ta, która ostrzegała przed gorączką. Życie poszło swoją drogą. Po raz kolejny nie dam się w taki cyrk wrobić. W ten sposób całkowicie straciłem wrażliwość na publiczne deklaracje, zbiorowe połajanki i szubienice, które stawia się wyłącznie w wyobraźni – są one dla mnie tak samo wiarygodne jak kastrowanie pedofilów. Młodszych przestrzegam, starsi pewnie zrozumieją.

Ten personalizm ma jeszcze jeden niedobry skutek: wcześniej czy później musi zaowocować podwójnymi standardami. Jednych, na przykład, ganimy za przyjmowanie orderów, ale hołdujemy innym z własnego obozu, którzy robią to samo. Nie o standardy tu przecież chodzi, ale o osoby. Ktoś, kto otrzymał nagrodę premiera, innym zarzuca, że mają potrzebę bywania.

Sprawa trzecia: ważne problemy. Mam wrażenie, że w czasie, kiedy walczyliśmy między sobą, odpuszczamy sprawy o wiele ważniejsze. Sam dopiero co skończyłem trzydzieści jeden lat, czekam na czwarte dziecko i chciałbym, żeby ono żyło w niezależnym kraju, stąd podzielam obawy większej części naszej strony politycznej, że mamy powody do zmartwienia. Wszelako kompletnie nie wierzę naszej klasie politycznej

i nie sędzę, że sama z siebie zrobi cokolwiek. Będzie zwodzić, mamić i olewać. Bezkrzytycznym poklaskiem dla tych ludzi – także tych z partii nam bliskich ideowo – ten stan tylko pogłębiamy. Politycy sami z siebie nie zabiorą się ani za naprawę armii, ani za system edukacji, sami z siebie nie będą też bronić bliskich nam wartości. Albo więc stworzymy silne mechanizmy nacisku, albo będziemy wiecznie zależni od tego, co dyktują partyjni liderzy.

I tu powraca sprawa niezależności – bo to właśnie na niezależności od każdego układu władzy, jakikolwiek by on nie był, zdradziecki, czy niezdradziecki, polega siła ideowych grup nacisku. Innymi słowy, do polityków idzie się z własną agendą i walczy się o jej maksymalną realizację. Robić to należy bezczelnie i bezwstydnie, nie zważając na to, czy wpisuje się to w partyjną logikę czy nie. W tym sensie nasze działania powinny różnić się od tych, które stosowała opozycja w PRL, mimo że obecne polskie państwo nie spełnia demokratycznych standardów. Nie dam sobie jednak wmówić, że jest to państwo dla mnie obce. Właśnie nie: ono jest moje i dlatego jestem tak bardzo na nie wkurzony. W urzędzie czuję się jak u siebie, nawet jeśli urzędniczka zajada wiśnie i nie ma ochoty na rozmowę ze mną. Ja, przeciwnie, ochotę mam. Podejrzewam, że bracia Karnowscy również.

*Mateusz Matyszkowicz*